

Prolog

Najpierw był telefon.

Wówczas mało kto miał telefon komórkowy, chociaż w dwa tysiące trzecim roku były już dosyć powszechne. W rodzinie Goczy telefon komórkowy nosił przy sobie tylko tata. Pierwszy miał wysuwaną antenkę, należało ją wyciągnąć, a dopiero potem można było wybrać numer. Drugi aparat, który kupił tata, był nowocześniejszy – ciemnobordowy Ericsson R380, bez klapki, z anteną wystającą u góry. Gocza chwycił za tę antenkę i udawał, że gra w tenisa stołowego, bo telefon przypominał kształtem raketkę.

Niestety tata nie pozwalał mu zabierać telefonu do szkoły, a szkoda. Może wówczas kumple przychylniej by na niego spojrzeli, przestali się nabijać i dokuczać, że jest Ruskiem, a jego stary to muzułmanin. Nie zliczył, ile razy im tłumaczył, że tata jest Gruzinem, że Gruzini nie znoszą Rosjan, a co do religii, jego tata był takim samym chrześcijaninem jak Polacy. Wprawdzie rodzina ojca Goczy zamieszkiwała południowy rejon Abchazji, ale z dziada pradziada wyznawali prawosławie, nie islam. Niestety, nie docierało – nabijali się nieustannie, jak

nie z taty, który czasami przyjeżdżał pod szkołę, żeby podrzucić go do domu, to z samochodu ojca, a nawet z imienia, które nosił. Nie pamiętał już, kto wymyślił tekst: „Gocza wypadł z krocza” – ten przeklęty wierszyk towarzyszył mu zawsze.

Telefon był jeden, najbardziej potrzebny tacie, wiadomo – tata był taksówkarzem, musiał mieć przy sobie komórkę. Sąsiad z mieszkania na parterze, pan Stasiak, zrobił tacie małe wizytówki, wydrukował je na grubszym papierze, a Gocza starym porozcinał arkusze na równe prostokąty. Na wizytówce widniało imię i nazwisko taty – Eduard Nemsadze – oraz numer telefonu komórkowego i grzecznościowo numer telefonu stacjonarnego państwa Mocnych, sąsiadów rodziców, którzy mieszkali po przeciwnej stronie korytarza. Z tyłu tata kazał wydrukować kilka punktów: „transport osobowy – kursy dzienne i nocne”, „przewóz zwierząt domowych” i jako ostatni: „przeprowadzki”. To było śmieszne, zważywszy na to, że ojciec jeździł starym volkswagenem golfem. Planował zakup czegoś większego, marzył mu się dostawczak, mercedes sprinter. „Wtedy będzie jak znalazł” – mówił o wizytówce. „Trzeba patrzeć przyszłościowo” – dopowiadała mama.

Tego dnia Gocza miał nigdy nie zapomnieć. A dokładnie – nocy. Już spał, była sobota, tata był w pracy, bo na nocnych kursach zarabiał najlepiej. Wprawdzie zazwyczaj woził pijanych ludzi, często nazajutrz Gocza wraz z mamą musieli sprzątać rzygi z tylnej kanapy albo oparć foteli, ale i tak się opłacało. Dyskoteki to było zbawienie - nikt nie patrzył, czy tata ma odpowiednie zezwolenia, by jeździć na taksówce, czy nie. Pijany klient nie czepiał się ojca, że ten kiepsko mówi po polsku, drzemał z tyłu albo śpiewał i się wygłupiał. Tata nieraz opo-

wiadał, co mu się przytrafiło. Gocza sikał ze śmiechu, gdy tata przy późnym niedzielnym śniadaniu zdradzał przebieg co zabawniejszych kursów.

Obudził go płacz. Najpierw usiadł i wyteńczył słuch. To mama płakała. Nie miał wątpliwości, bo ściany w ich bloku zrobiono z tektury, jak mówił często tata. Kiedyś nawet spróbował wydłubać dziurę w ścianie dzielącej duży pokój – tam spali rodzice – od jego klitki. Nie udało się przebić na wylot, ale Gocza zdołał wydrążyć scyzorykiem mały otwór pod tapetą.

Wstał i poszedł tam po cichu, nie zapalając po drodze światła, ani u siebie, ani w przedpokoju. Miał już dziesięć lat, rodzice nie pozwalali mu spać ze sobą, ale mimo to czasami wchodził im do łóżka, układał się między nimi i usypiał, ogrzany ich oddechami.

– Mamuś... – zająknął się, stając w progu pokoju. Mama siedziała na wersalce, miała na sobie szlafrok. Jej włosy, zawsze schludnie ułożone i podpięte w koka z tyłu głowy, smętnie zwisały przy twarzy. – Mamuś? – Zebrał się na odwagę, podszedł i usiadł przy niej. – Coś cię boli?

Drgnęła. Dopiero teraz go zauważyła, obróciła głowę i spojrzała na niego. Z przerażeniem patrzył, jak krztusi się łzami. Próbuje coś powiedzieć, otwiera usta, nabiera powietrza, ale nic nie mówi. Jakby straciła tę zdolność. Chwyił ją za rękę i ścisnął. Był przerażony, jeszcze nigdy nie widział, żeby mama tak strasznie płakała.

– Coś cię boli? – Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Mama nigdy nie płakała. No prawie nigdy. Tylko kilka razy: na pogrzebie babci Józki, jej mamy, potem gdy tata rozwalił samochód i musiał dużo zapłacić za naprawę, i kiedyś, gdy się pokłóciła z wychowawczynią Goczy. Zmienił wtedy szko-

łę, ale to było dawno, zaraz na początku, poszedł wtedy do zerówki i dzieci mu dokuczały, a jeden chłopak, miał na imię Adam, prawie codziennie go bił.

– Synku... – zachrypiała.

– Mamuś, dać ci coś? Chcesz picie? – zaproponował. – Przyniosę.

Zerwał się i pobiegł do kuchni. Szybko nalał wody z czajnika do szklanki, wziął kosmetyczkę z żółtej ceraty – mama trzymała tam różne tabletki – i wrócił do pokoju. Nic się nie zmieniło: mama siedziała, dociskając do twarzy dużą białą kulkę, utoczoną z chusteczek higienicznych.

– Masz, wypij. – Wcisnął jej szklankę do ręki. – A tu są lekarstwa.

Posłuchała. Wypiła kilka łyków, spojrzała na niego i znowu to się stało: jej ciałem wstrząsnął szloch.

– Jak my sobie poradzimy? Boże, co teraz będzie... – łkała.

– Zadzwońię do taty – powiedział stanowczym tonem. Czuł, że sam sobie nie poradzi, że sytuacja go przerosła.

Ale te słowa jeszcze pogorszyły sytuację. Nie czekał na dalszy rozwój wypadków, w jednej chwili znalazł się na klatce schodowej. Zastukał głośno do drzwi państwa Mocnych, a po krótkim namyśle nacisnął dzwonek. Był pewien, że sąsiedzi śpią. Na dodatek pan Mocny był stary i kiepsko słyszał, z kolei jego żona, pani Irenka, to już w ogóle lipa, bo nosiła aparat słuchowy. Ku jego zdumieniu, drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Zobaczył panią Irenkę, miała na sobie pikowany szlafrok, a na głowie wałki. Co dziwne, ona też była zapłakana.

Aż go wmurowało, bo wyglądała prawie tak samo jak mama: czerwona na buzi, z chusteczką przy nosie.

– Proszę pani, bo moja mama...

– Wiem. – Spojrzała na drzwi do ich mieszkania.

– Kto tam przyszedł? – usłyszał głośne zapytanie, a po chwili w głębi korytarza pojawił się pan Mocny. – A, to ty, chłopcze.

Spojrzeli po sobie. Gocza wyczuł, że coś się stało, wystarczyło na nich popatrzeć, ale jeszcze nie dopuszczał do siebie żadnych myśli. Po prostu wiedział, że coś się stało. Coś złego.

– Idź do niej, Irenko – odezwał się pan Mocny. – Ja z nim pogadam. – Podeszedł i przykucnął przed Goczą. – Chodź, chłopaku, trochę sobie pogadamy, a żona pójdzie do mamy, dobrze?

Pokiwał głową.

Sąsiad zaprowadził go do dużego pokoju. Przyniósł z kuchni butelkę z jakimś pysznym gazowanym napojem i naleł.

– Bo widzisz... – zaczął – ...przed chwilą zadzwonił do nas... zadzwonił jakiś facet, kolega twojego taty. Mówił, że... – Chrząknął. Ku zaskoczeniu Goczy, podniósł jego szklanekę i opróżnił ją do dna. – Bo widzisz, Gocza, chłopcze... – Znowu uciął. Potarł policzki, potrząsnął głową i w końcu cicho rzekł: – Twój tata nie żyje.

„Twój tata nie żyje” – powtórzył w głowie. „Tata nie żyje” – skrócił informację, ale nadal nie dotarł do niego jej sens. „Jak to nie żyje?” – zdumiał się.

– Jak to nie żyje? – wypowiedział na głos. – Przecież tata jest w pracy. Pojechał na nocne jazdy. Kto do pana dzwonił? Tata? – upewnił się, bo to, co przed chwilą usłyszał, było kompletnie bez sensu. – Mój tata żyje. Jest w pracy.

– Dzwonił jakiś facet, jego znajomy.

– Kto?

– Nie zapamiętałem.

– To nieprawda. – Gocza wstał i ze złością zacisnął pięści. – To nieprawda, a pan kłamie. Kłamie! – Patrzył prosto w oczy sąsiada. – Pan jest głuchy i stary. Nic pan nie słyszał!

Wypadł z mieszkania Mocnych, chciał pobiec do mamy, wyrzucić stamtąd tę wstrętną panią Irenkę, to właśnie ona musiała nagadać mamie bzdur. Otworzył drzwi i wtedy wpadł wprost na czyjeś szerokie plecy. W pierwszej chwili myślał, że to tata! Że właśnie wrócił do domu, żeby pomóc mamie i nakrzyczeć na panią Irenkę, bo razem z mężem ich okłamali. Fala ulgi prawie go udusiła. Już miał krzyknąć: „Tata!”, prawie to zrobił, bo ten ktoś miał czarną kurtkę, taką samą jak nosił tata, ale to był ktoś obcy. Dopiero po chwili zrozumiał, że to policjant.

– Co pan tu robi? – wychrypiał, ale policjant nie zdążył mu odpowiedzieć, bo w drzwiach dużego pokoju pokazała się sąsiadka. – Co tu się dzieje? – Nie mógł nad sobą zapanować. Dolna warga trzęsła się jak głupia, więc ją przygryzł. Nie pomogło, w gardle rosła gęła, gniotła coraz mocniej.

Dotknął policzka i spojrzał na swoje palce. Były mokre. „Ja płacę?” – nie mógł uwierzyć, że to się stało. Nie lubił płakać. Zawsze się pilnował, żeby nie płakać jak baba. A już przy chłopakach? Przy nich nigdy nie płakał, nawet gdy któryś go walnął, czy popchnął na asfalt, jak ostatnio Filip z czwartej a. Rozwalił wtedy oba kolana, zwichnął nadgarstek w lewej ręce, bo prawą osłonił twarz, ale nie płakał. Nie dał satysfakcji temu gnojnowi.

– Gocza! – dobiegł go krzyk mamy. Rozpaczliwy, głośny. Taki, że miał go zapamiętać do końca życia.

Popędził tam. Do niej. Wtulił się mocno.

Zrozumiał.

Tylko ona mu została. A on jej.

Rozdział 1

Ojciec zawsze miał gest, ten prawdziwy ojciec, rzecz jasna, czyli wujek Wasyl. Stać go było na wszystko, inna kwestia, że nie zawsze był skłonny sypnąć groszem, ale na ślub Wierki? O tak, poświęcił małą fortunę, żeby ślub oraz wesele Wiery i Nikity odbiły się głośnym echem w towarzystwie. Ale nawet najbardziej wystawna uroczystość szybko się kończy, tak samo podróż poślubna i oglądanie prezentów. Minęło dziesięć długich miesięcy, część z tych prezentów nadal leżała w jednym z pokojów gościnnych wielkiej rezydencji Doneckich, kiedy Wierka postanowiła uciec.

Tak po prostu.

To nie było szczególnie trudne. Jej mąż, a zarazem przyrodni brat, miał ją w dupie i vice versa: Wierka nigdy go nie lubiła. „Nadęty bubek, kawał chama i prostaka” – nie miała dobrego zdania o Nikicie. Zresztą nikogo z rodzeństwa nie znosiła, ani Nikity, ani Katii – wredna pinda, czepia się wszystkiego przy byle okazji – ani najmłodszego z ich grona, czyli Kostka. Tego smarkacza nie tolerowała od pieluch, był okropny, wrzeszczał całymi dniami, a tata zamiast zajmować się biznesem, kom-

pletnie oszalał na jego punkcie. Zupełnie jakby Kostia był jego prawdziwym synem.

Żałosna sytuacja, przecież wszyscy wiedzieli, że tata nie może mieć dzieci, to znaczy wszyscy zainteresowani, zwłaszcza wuj Wasyl. Ech, te wszystkie pieprzone rodzinne sekrety potrafiły przyprawić o ból głowy. Wierka miała dosyć, chciała zwiać, zapomnieć o tej walniętej rodzinie, o obu ojcach: Wasylu, który ją spłodził, i Olegu, który ją wychował, a teraz przehandlował za święty spokój, o matce, rodzeństwie i każdym, kto pracował na rzecz klanu jej taty i Doneckich.

Dość.

Oczywiście liczyła się z tym, że będą jej szukać. Bynajmniej nie z tęsknoty, bo kto miałby tęsknić za Wierką? Mama? Śmiechu warte. Pod koniec ubiegłych wakacji, kiedy Wiera dowiedziała się, jaki plan mają wuj Wasyl i tata, popędziła do matki na skargę. Powiedziała, a raczej wykrzyczała: „Nie wyjdę za własnego brata, jesteście pojebani!!! To obrzydliwe!”. A co na to jej matka? Załamała ręce, zrobiła cierpiętniczą minę, stęknęła, że biedny Oleg jest taki chory i nie wolno przyprawiać mu trosk. Ostatecznie Wierka wzięła ślub z Nikitą, a teraz chciała pokazać całemu światu, że ona też ma wolną wolę, jakieś plany i pomysły.

Nie od razu się udało. Najpierw podpytała przyjaciółki, czy jej pomogą, ale to nie miało sensu. W tym świecie zbyt dużo było wzajemnych powiązań. Pociągnąłeś za jeden sznureczek, a na końcach pięciu innych wybrzmiały dzwonki. To było z góry skazane na niepowodzenie. Kilka dziewczyn, z którymi się przyjaźniła i była bliżej: Olena, Lubow i Anna, tkwiły w podobnym układzie: były córkami ludzi, którzy się znali. Po pro-

stu. Wystarczyło powiedzieć „oni się znają” i już wiadomo, o co chodziło. O powiązania, o zależności, o miejsce w tej wielkiej maszynie. Kto chciałby nadstawić karku za Wierkę? Narazić się jej teściowi, wielkiemu Wasylowi Doneckiemu? On był jak król. Wprawdzie nie tylko Bolivar – taką ksywkę nosił wuj Wasyl – trzął gangsterskim światkiem w Rosji, miał wielu podobnych sobie kolegów, którzy kierowali wielkimi organizacjami, lecz bez wątpienia był kimś, z kim wszyscy się liczyli.

Najciemniej pod latarnią, kto nie zna tego przysłowia? Wierka wynajęła małe mieszkanie na jednym ze strzeżonych osiedli w Moskwie i tam przesiedziała pierwszy miesiąc. Nikt nie zwrócił uwagi na jej nazwisko, nikt nie spytał, co takiego zamierza robić ta samotna młoda dziewczyna i dlaczego nie chce żadnej umowy. Nieważne. Minął miesiąc, skończył się wynajem, a Wierce znudziła się samotność w czterech ścianach. Rozważała powrót na łono rodziny, przecież mogła wrócić do Nikity, powiedzieć, że potrzebowała dystansu i samotności. Inna rzecz, że Niki nie zdążył zauważyć jej zniknięcia. Nie dzwonił, nie szukał jej, nic, natomiast tata owszem – szukał, ale co mógł zrobić? Był umierający, nieustannie naszpikowany lekami przeciwbólowymi. Co do wuja Wasyla, ten zawsze stanowił zagadkę. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jak postąpi, a już na pewno nie ona, córka z nieprawego łóża.

O tym, że wuj Wasyl zauważył jej zniknięcie, dowiedziała się od Idy, jedynej zaufanej osoby, która mieszkała w domu rodzinnym Wierki. Ida zawsze ją lubiła, może nawet coś więcej. Miała dwadzieścia pięć lat i była lesbijką. Niestety, Wierki nie kręciły takie klimaty, ale korzystała z dobroci serca Idy, jej zafascynowania i pełnego oddania. Czemu nie? W koń-

cu Ida dostawała kasę za swoją pracę i pobyt w domu rodziców Wiery.

– Pan Oleg strasznie się martwi. Pani Magda też.

– Nie kituj – zaśmiała się Wierka. – Może tata się martwi, ale matka? W życiu nie uwierzę. Moja matka ma w sobie tyle ciepła, ile kawior z jesiotra.

Wiedziała, co mówi. Matka nigdy nie była wobec niej serdeczna, nawet kiedy pojawiały się poważne problemy i Wierka naprawdę potrzebowała matczynego wsparcia. Jej rodzicielka cedowała obowiązki, delegowała je na wszystkich, byleby sama nie musiała marnotrawić czasu i starań, o uczuciach w ogóle nie wspominając. Trochę serca okazywała jedynie Kostkowi, ale tylko dlatego, że gnojek potrafił nią manipulować i wymuszać zainteresowanie.

– Był tu pan Wasyl. Strasznie wściekły. Podśluchałam co nieco – szepnęła konfidencjonalnie Ida.

– No mów!

– Najpierw oskarżył panią Magdę, że to jej rodzina z Polski przechowuje cię u siebie, a potem, kiedy pani Magda go wyśmiała i stwierdziła, że to pewnie Grizzly bruździ, on albo ktoś z nim powiązany, powiedział, że też o tym myślał i trzeba to sprawdzić.

– A czemu oni? – zdziwiła się. Od lat trwał konflikt między klanem Michaiła Sorokina, który nosił przydomek Grizzly, bo był niski, krępy i zarośnięty na twarzy jak prawdziwy niedźwiadek, a Wasylem Doneckim. Obaj nieustannie walczyli o strefy wpływów, głównie chodziło o polski rynek, więcej detali Wierka nie знаła, bo miała to w nosie, ale teraz ci ludzie mogli się przydać! – Co jeszcze słyszałaś?

– Pan Wasyl powiedział, że za twoim zniknięciem może stać ktoś z ich klanu. Że cię uprowadzili i będą chcieli wymienić, ale za co, nie zrozumiałam.

– Ładne jaja. – Parsknęła śmiechem. – Handel żywym towarem, który mieszka pod ich nosem. Co za głupek. – Nie miała wysokiego mniemania o biologicznym ojcu. – Ale wiesz, to niegłupi pomysł.

– Co? Powtórz.

– Nieważne. Jak coś się zmieni albo wydarzy, daj znać.

– Mam dzwonić na ten numer? – upewniła się Ida.

– Yhy. A jeśli nie odbiorę albo nie będzie działał, poczekaj spokojnie, odezwę się na pewno.

To Wiera pierwsza dała znak życia, zadzwoniła do wiernej pokojówki z nieznanego numeru, bo tamten nie działał. Jeszcze przed wynajęciem apartamentu pozbyła się poprzedniego telefonu: rozwalila go kamieniem w drobny mak, ale najpierw przepisała do notesu wszystkie ważne numery.

– Uważaj na siebie.

– Uważam.

– Kocham cię.

– Ej, no! – Wiera nie lubiła takich wyznań.

Czasami Ida była okropnie natrętna z tymi swoimi wyznaniem miłości. Jeszcze nie rozumiała, że nie kręciły ją te klimaty? Wolą facetów, zdecydowanie, zwłaszcza ostatnio. Seks zawsze przynosił ukojenie, pozwalał zapomnieć, poczuć się lepiej, pewniej. Dawał chwilę na oddech, bywało, że działał lepiej na psychikę niż jej romans z zyletką.

– Wiesz, że tak jest. Okropnie tęsknię.

– To przestań.

Właśnie po tej rozmowie Wiera opracowała swój plan. Nie musiała długo szukać dojścia do właściwej osoby. To wymagało zaledwie dwóch wypadów do klubu nocnego Dolar, swoją drogą ten klub należał do jej męża, co dodawało pikanterii całej sytuacji. Nie ma to jak układać się z wrogiem rodziny pod samym jej nosem. Na szczęście nikt na nią nie trafił, nie skojarzył i nie rozpoznał, nawet Fiodor, przydupas Nikity. Wierka widziała go w klubie, zawsze tam był, tkwił jak przyspawany, pewnie nigdy nie wychodził. Wszedł prosto na nią, potrącił niechcący, przeprosił i polazł dalej. Co za jełop. Przecież Niki zaprosił go na ich ślub. Niezły żart, że jej nie poznał.

W każdym razie udało się jej skontaktować z facetem, który kręcił lody z ludźmi Sorokina, a on dał jej namiary na Wiktora Smołowa. Ten był bliżej bossa, można rzec, że był prawą ręką Sorokina, jego *smatriaszczim*, tak samo jak Misza Korkow był zaufanym przybocznym Wasyla Doneckiego. Mężczyzna najpierw uprzedził Wierkę, że do Dolara nie przyjdzie, nie ma takiej opcji, ale parę dni później wyznaczył datę, godzinę i inne miejsce spotkania.

Umówili się w hotelu Salut, tam było względnie bezpiecznie, zresztą Wiktor wysłał najpierw kilku ludzi, żeby sprawdzili teren przed spotkaniem i mieli na oku budynek. Nie potrzebował problemów, a już na pewno nie z klanem Doneckich. Musiałby być ostatnim głupcem, żeby naruszyć terytorium wroga i to jeszcze bez ważnego powodu, bo spotkanie z jakąś gówniarą nie było niczym ważnym, nawet jeśli smarkata została niedawno żoną Nikity Doneckiego. Zresztą nawet wśród gangsterów panowały niepisane zasady, a jedna z nich stanowiła, że kobiet nie miesza się do interesów.

No, chyba że ta kobieta była wyjątkowo łakomym kąskem. Aż się oblizał na widok Wiery. Była śliczna, trochę za bardzo zrobiona, ale to nie stanowiło problemu. Zawsze można ją było porządnie wykapać i zmyć z twarzy wszystkie te malowidła.

– Czego od nas oczekujesz? – spytał.

– Hmm... – Wierka przygryzła kącik ust.

Gdy weszła do holu hotelowego, była pełna entuzjazmu, energia wręcz ją rozsadyła, gdy pomyślała, jak wkurzy się ten stary głupek, jej ojciec. Teraz straciła rezon. Facet, który siedział po drugiej stronie stolika, nie wyglądał na miłego misia, przeciwnie. Inna rzecz, że odkąd pamiętała, wokół niej kręciło się mnóstwo podobnych mu kolesi: w czarnych kurtkach ze skóry, z gnatem pod pazuchą lub za paskiem spodni i z zakazaną gębą, pokrytą bliznami oraz innymi śladami burzliwej przeszłości.

– Wydusisz coś z siebie czy będziemy tak siedzieć i pić herbatkę? – Uniósł brwi.

– Potrzebuję się ukryć – wykrztusiła w końcu.

– Aha. Przed kim?

– Przed nikim. Po prostu chcę zniknąć. Na jakiś czas – zastrzegła.

– To można dwojako zrozumieć. – Wyszczrzył zęby. – Że chcesz zniknąć. Bo wiesz, niektóre zniknięcia – pokazał palcami znak cudzysłowu – są bardzo długie, rzekłbym bezterminowe.

Wzdrygnęła się, poprawnie interpretując jego słowa.

– Chcę zniknąć na pół roku – doprecyzowała.

– A później?

- Dostać się do Londynu.
- Po co? I czemu od razu tam nie polecisz?
- Nie twój biznes, po co.
- Jesteś w błędzie. Teraz to również mój biznes.
- Chyba niepotrzebnie cię fatygowałam. – Wstała, ale prawie od razu usiadła z powrotem, a raczej walnęła tyłkiem o siedzisko krzesła, bo Wiktor Smołow szarpnął ją za rękę i usadził na miejscu. – Ej, no! – warknęła.
- Żarty sobie robisz? – On też nie miał miłego tonu. – Chcesz się spotkać, umawiam ludzi, a potem co, focha strzelasz? Na rozum ci padło?
- Rozmyślałam się. – Potarła nerwowo nadgarstek. – Sama sobie poradzę.
- Za późno. Chcesz zniknąć, nie ma sprawy. Nie bój się – dodał, bo rozbawił go wyraz twarzy dziewczyny. Była posikana ze strachu. Niepotrzebnie. Na razie nic jej nie groziło, nic i nikt. – Pod moją opieką będziesz bezpieczniejsza niż w domu u mamusi. Gwarantuję.
- Dasz słowo?
- Dam. – Przyłożył pięść do serca. – Na honor *wora*. No co? Ulżyło ci?
- Okej – mruknęła bez przekonania. – Co za to chcecie?
- Za co?
- Za skrytkę. Gdzieś muszę mieszkać, no nie? Uprzedzam, chwilowo nie mam zbyt dużo kasy.
- Potem się rozliczymy.
- Co to za meta?
- Moja ciotka ma dom w małej wiosce pod Petersburgiem, tam cię zawiozę. Duży, wygodny. Nikt cię tam nie namierzy.

– Tam musi być kurewsko zimno. – Potarła ramiona. Wszystko, co znajdowało się na północ od Moskwy, według niej leżało na biegunie północnym, a ona nie znosiła zimna.

– Wytrzymasz. – Nachylił się i klepnął ją mocno w ramię, aż jęknęła.

– Czemu mi pomagacie? – Przymrużyła oczy.

– Bo poprosiłaś o pomoc, a pięknym kobietom się nie odmawia.

– Co za banał. – Wiera przewróciła oczami. – Daj spokój. Marny z ciebie podrywacz.

– Daję radę. – Zaśmiał się.

Wprawdzie nie miał żony i dzieci, bo od początku mafijnej kariery hołdował zasadzie, że dobry *wor w zakonie* nie żeni się, nie płodzi dzieciaków, nie kała się uczciwą pracą i nie przywiązuje do żadnych dóbr materialnych, ale lubi mieć pieniądze, a co za tym idzie – piękne kobiety.

– Kiedy tam pojedę?

– Zaraz. – Sięgnął po filizankę i przechylił, ale w środku nie została nawet kropelka herbaty.

– Chyba oszalałeś? Nie mam ze sobą żadnych rzeczy. Wszystko zostało w przechowalni.

– Trzymasz swoje rzeczy w przechowalni? Jeszcze powiedz, że na dworcu? – Zrozumiał, że poprawnie odgadł, bo Wiera przewróciła oczami. – Na Leningradzkim? – Wyszczерzył zęby, a kiedy fuknęła pod nosem, że właśnie tam, powiedział: – Kupię ci nowe szmaty, stać mnie.

– Jak chcesz. – Nie odważyła się sprzeciwić.

Smołow miał coś takiego w spojrzeniu, że brakło jej odwagi. Zupełnie jakby siedział przed nią Nikita, jej brat. Zna-

ła dobrze tę specyficzną dzikość, czerń w oczach, która zakrywała prawdziwe myśli i zamiary.

Pojechali na lotnisko, stamtąd polecieeli prywatnym odrzutowcem Sorokina do Petersburga, później znowu jazda samochodem, na szczęście ten etap podróży był krótki. Wyjechali za rogatki miasta, minęli dwie małe osady, by dotrzeć do trzeciej, jeszcze mniejszej, ale położonej w wyjątkowo urokliwym miejscu. Ciotka Smołowa, Anna, żyła sobie spokojnie w całkiem bogato urządzonej wiosce zaraz przed miasteczkiem Lebiażje. Jej gospodarstwo skrywało się w gęstym lesie, od północy graniczyło z linią brzegową, w trzech pozostałych zabudowania otoczono wysokim murem. Trochę wyglądało to jak miniaturowa wersja ojcowskiego Edenu, tylko morze było inne: u Wasyla Morze Czarne, natomiast tutaj Bałtyckie, a dokładnie Zatoka Fińska.

Jeśli Wiera łudziła się, że w razie zmiany zdania będzie mogła stąd wyjechać, była w błędzie. Nie dość, że posesji strzegło kilku przypakowanych kolesi, to ten pieprzony cham, Wiktor, zaraz po ich przybyciu na miejsce i pokazaniu pokoi, które dla niej przygotowano, założył jej bransoletkę na nogę. Oczywiście, nie odbyło się to bynajmniej w pokojowej atmosferze. Wiera mało nie wydrapała Wiktorowi oczu. Najpierw próbowała mu uciec, potem, kiedy ją dorwał, tuż przy oknie, walczyła niczym lwica, ale miał druzgocącą przewagę fizyczną i nic nie mogła zrobić. Co gorsza, po założeniu bransolety Wiktor kazał Wierce rozebrać się do naga i obejrzał uważnie każdy skrawek jej skóry, nawet tam, w tym miejscu.

– Jesteś wstrętny! – Wiera napluła mu w twarz, gdy zakończył inspekcję.

– Musiałem cię zrewidować. – Wiktor stanął tyłem i polecił, żeby się ubrała.

Prawdopodobnie zauważył blizny, te przy pachwinach, bo w trakcie oględzin na chwilę podniósł wzrok, a w jego oczach dostrzegła jakże znajome pytanie: „czemu to robisz?”, ale nic nie powiedział. Mógł spytać, usłyszałby wtedy, że to jej sposób na przetrwanie, właśnie to – samookaleczanie, „samobójstwo na raty”, jak powiedziała kiedyś terapeutka. Było jej wszystko jedno, już i tak po niej. Tutaj nikt jej nie odnajdzie, miała pewność.

– To obrzydliwe.

– Przeciwnie – odburknął zza pleców. – Masz niezłe ciało. Ruchałbym – zarżał.

– Pieprz się.

– Dojdziemy do tego – odparł. – Wystarczy, że poprosisz.

Miała ochotę go zabić, ale czym? Jak? Byli sami, chociaż tyle, że nie naraził jej na śmieszność przed podwładnymi. Och, jak Wiera żałowała, że zwróciła się do niego o pomoc, lecz mleko już się wylało, była zdana wyłącznie na siebie.

– Czemu tak rozrabiasz? – Wiktor wziął krzesło, postawił oparciem do niej i usiadł na nim okrakiem. – Gdybyś nie fikała... – Pokiwał głową, widząc liczne otarcia na jej twarzy. Młoda Donecka prezentowała się jak po wyjątkowo ostrym seksie, a on nawet nie umoczył kutasa. „Tyle przegrać” – pomyślał.

– Pierdol się, Wiktor. – Usiadła w fotelu, sięgnęła po skarpetkę i naciągnęła na stopę. – Gdzie druga? – Rozejrzała się wokół.

Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu: wywrócone krzesła, zerwana zasłona i drewniany karnisz, poprzesuwane me-

ble, bo Wiera popchnęła Wiktora na małą komodę. Serweta ściągnięta z małego okrągłego stolika leżała na podłodze wraz z rozbitym wazonem. Jeszcze przed kwadransem stały w nim świeże kwiaty. Im też się oberwało: różane płatki upstrzyły parkiet białymi plamkami.

– Chodź w jednej.

– Sam sobie chodź w jednej skarpetce.

– Zawsze mogę odstrzelić ci stopę. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Wystarczy ci jedna. – Wskazał na tę, na której tkwiła bransoleta.

– Debil.

– Powiedz mi, jak twój stary z tobą wytrzymał? – Przechylił głowę.

– Ojciec?

– Nie. Mąż.

– Mam go w dupie.

– Pokażesz? – Wyszczrzył zęby. Były ładne, równe, białe, bez żadnego ubytku.

– I tak stąd ucieknę. – Hardo zadarła brodę.

– Niby dokąd?

– Gównno cię to obchodzi.

Zapadła cisza. Wiktor westchnął ciężko. Od początku ten pomysł wydał mu się durny, ale stary naciskał. Gdyby to od niego zależało, kijem by nie tknął Wiery Doneckiej. Po co komu problemy?

– Zaczniemy jeszcze raz – zagaił koncyliacyjnym tonem. – Chcę dla ciebie dobrze. – Sam się zaśmiał w duchu z tego stwierdzenia, ale ciągnął dalej: – Będiesz grzeczna, włos ci z głowy nie spadnie, przysięgam. – Przyłożył pięść do serca.

– Żaden z ciebie przeciwnik. Wygram z tobą, żaden honor, przegram, wstyd na całe życie. Nie prowokuj mnie. Możesz tyle zrobić?

– Jesteś zwykłym zjebem. Ech... – jęknęła, patrząc na kostkę lewej nogi. Bransoleta już zdołała otrzeć naskórek. – Popierdoliło cię? Ja chyba śnię. – Przenosiła wzrok z bransolety na Wiktora i z powrotem. – Zdejmij to, wtedy pogadamy.

– Nie mogę. Nakaz to nakaz.

– Piesek Sorokina.

– Może i piesek.

– Na krótkiej smyczy.

– Dłuższej niż twoja. – Wskazał brodą na bransoletę.

Miał rację. On mógł stąd wyjść, wrócić do Moskwy, robić, co zechce. Ona nie.

I to na własne życzenie.

* * *

Dni mijały, zlepiały się w tygodnie, a te w miesiące. Na początku Wiera myślała, że obmyśli ucieczkę, ale z dnia na dzień coraz bardziej traciła chęci, żeby wprowadzić w życie jakiś plan. Przypuszczała, że dopadło ją coś na kształt depresji. Budziła się rankiem i jedyne, co czuła, to zmęczenie. Najchętniej w ogóle nie wylazilaby spod kołdry. Spała po szesnaście godzin na dobę, czuwała przez pozostałe osiem. Rzadko czuła głód, prawie wcale. Nawet nie miała ochoty, by sięgnąć po żyletkę. To też wymagało energii, a przede wszystkim emocji, czegoś, co wyzwalało w niej potrzebę okaleczania.

Wiktor powiedział, że czasami wpadnie zobaczyć, co u niej. Dotrzymał słowa: przyjeżdżał dwa razy w miesiącu, bywało,

że częściej – wpadał na cały weekend, a do Moskwy wracał dopiero w poniedziałek. Pytał, jak Wierka się czuje, czy ciotka Anna jest w porządku. Nie była. „Nienawidzę tej baby” – mówiła Wiera, ale bez emocji. Po prostu jej nie znosiła. Jej wyglądu, stylu bycia, głosu, a nawet zapachu – mieszaniny lakierni do włosów, naftaliny i wódki. Ohyda.

Podejrzewała, że starucha dosypuje jej do napojów coś na uspokojenie, i nawet to sprawdziła. Przez kilka dni konsekwentnie wylewała wszystko do toalety, a pragnienie gasiła wodą z kranu. Przestała być senna, zmysły ponownie się wyostrzyły. Spytała ciotkę Wiktora, czym ją faszeruje. „To zioła” – odparła Anna. „Trujesz mnie jakimś świństwem! Poskarżę Wiktorowi” – zagroziła Wiera, lecz Anna zupełnie się tym nie przejęła. „Chcesz? Mów. Chciałam tylko pomóc”.

Minął tydzień odwyku i picia wody z kranu, a Wiera czuła narastające napięcie. Wprawiało jej ciało w nieznośny dygot, uniemożliwiało sen. Zdała sobie sprawę, że po ziołach, jakiegokolwiek były, czuła się lepiej. Znowu opróżniała do dna dzbanek z poranną kawą zbożową, tak samo postępowała wieczorem, kiedy podawano jej kubek kakao. I znowu było jej lżej przetrwać kolejne dni. Funkcjonowała na jałowym biegu, spokojna i pogodzona z losem. Ożywiała się dopiero przed wizytą Wiktora. Anna uprzedzała, kiedy jej siostrzeniec przyjedzie. Wtedy Wiera mogła powiedzieć, że wraca do niej życie.

Chodziło o seks. Wyłącznie na to czekała. Nie żeby miała problem ze znalezieniem kochanka. Po posesji kręciło się sporo facetów, pilnowali zabudowań i ogrodzenia – młodzi, zdrowi, na pewno chętni, żeby ją zaliczyć choćby z nudów. Bardzo możliwe, że Wiktor zakazał im wszelkich prób poderwania Wierki, bo

trzymali się na dystans, odpowiadali półsłówkami, tyle, ile było konieczne, by nie wyjść na ostatniego buraka. Ale nawet nie próbowała wystartować do któregoś z nich. Jeszcze nie upadła tak nisko, by prosić o seks zwykłych pacholków, ludzi stanowiących ostatnie ogniwo łańcucha w hierarchii organizacji.

Co do seksu – traktowała to jak element higieny osobistej. Rano i wieczorem myła zęby, brała prysznic, zmieniała ciuchy na świeże. To samo z Wiktoorem – seks z nim stał się jedną z czynności wykonywanych rutynowo. Wiktor przyjeżdżał, jedli kolację albo późny obiad, potem szli do jej pokoiów, Smołów zostawiał pistolet na małej szafce w korytarzu, a magazynek chował do kieszeni spodni. Wchodzili do środka, Wiera przekreślała w drzwiach klucz, który musiała mu oddać. Niepotrzebnie tak się zabezpieczał, nie mogła stąd uciec, strażnicy zatrzymaliby ją zaraz w głównym holu, a jeśli nie tam, to przy drzwiach albo pod oknem, gdyby zdecydowała się skoczyć z prawie dziesięciu metrów na wybetonowane podwórze wokół budynku.

Smołów zawsze miał ze sobą trzy paczki prezerwatyw, te same, marki Durex. Ponoć były najlepsze. Najpierw ona zdejmowała ciuchy i rzucała je na podłogę. Potem on: rozpiął guziki koszuli, ale tylko te górne, i zdejmował ją przez głowę, ściągał buty wraz ze skarpetkami, a na koniec pozbywał się spodni i bielizny. Sięgał po pudełeczko z kondomami, zakładał prezerwatywę, nie spuszczać Wierki z oka.

– Rozłóż nogi, dotknij się tam – prosił czasami, bo nie szło mu wciąganie gumki.

Kładł się od razu na niej, bez żadnej gry wstępnej, ale to nie przeszkadzało Wierce. Gdy kiedyś się zastanawiała, zaraz na początku – to musiało być ich drugie, może trzecie spotkanie

w sypialni – jak to by było, gdyby Wiktor ją całował, pieścił, mówił jakieś sprośne rzeczy albo próbował polizać ją po cipce, aż nią wzdrygnęło. Nie brzydziła się go, zawsze przyjemnie pachniał, nosił czyste i fajne ciuchy, był zadbany. Ale to za mało. Za mało, żeby ofiarować coś ponad to, co mu dawała.

Ich seks miał tylko jedno właściwe określenie – był mechaniczny. Co nie przeszkadzało Wierce za każdym razem osiągnąć satysfakcję. Bez względu na to, czy pieprzyli się pierwszy raz, drugi czy piąty – Smółow był bardzo wydajnym i wydolnym kochankiem, a ona zawsze miała orgazm. Czuła, że nadchodzi, charakterystyczne mrowienie skóry obejmowało najpierw lewą stronę wejścia do pochwy, potem drugą, by po kilku sekundach eksplodować rozkosznym spełnieniem w całej cipce. Wierka zamykała oczy, przestawała się ruszać, zapomniała zupełnie o Wiktorze. W tym momencie mógł przestać istnieć. Gdyby po wszystkim wstał i bez słowa wyszedł z sypialni, nie drgnęłaby jej powieka. Zrobił swoje, mógł spadać.

Dopiero po dłuższym czasie przypominała sobie o nim. Otwierała oczy i patrzyła na Wiktora. Co myślał? Czy w ogóle coś myślał? O niej? Kim była dla niego? Wtedy czuła smutek. Tak dojmujący, że sprawiał niemal fizyczny ból. Właśnie w tych chwilach wracało do niej stare pragnienie – żeby się pociąć. Żeby wyjść do łazienki, wyjąć małą cienką blaszkę, którą zawsze miała przy sobie, schowaną teraz pod brodzikiem prysznic, przejechać po skórze i patrzeć na krew. Czekać na znajome emocje – na poczucie ulgi. Cały syf, który zrodził się w jej głowie, wypływał wraz z krwią, definitywnie i ostatecznie opuszczał jej ciało. Oczyszczenie dawało nadzieję, że chociaż przez chwilę będzie lepiej. Lżej na duszy.

Ale zawsze może być gorzej. Przywykła do Wiktora, do ich mechanicznego seksu, przewidywalnego w każdej sekundzie. Już nie myślała o ucieczce, zapomniała, że kiedyś żyła gdzie indziej. Czuła nieco większe ożywienie, bo wyciąg z ziół, którymi faszrowała ją ciotka Anna, przestał działać. Uodporniła się. Bywało, że szła z Anną na spacer, przez las docierały na plażę i siedziały tam, nie rozmawiając ze sobą. Anna próbowała zagadywać, często pytała o Wiktora, drażyła, zazdrosna o siostrzeńca, który poświęcał swój czas tylko Wierce, ale ta nigdy nie zdradziła, co ją łączy ze Smołowem. Pozostawały domysły, graniczące z pewnością, bo przecież ktoś systematycznie sprzątał pokoje Wierki, opróżniał kosz ze zużytymi kondomami, zmieniał pościel, pomiętą i przesyconą zapachem ich potu.

– Wyjeżdżasz stąd – powiedział.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Musiała przemielić słowa, powtórzyć je w głowie, by znaleźć sens.

– Co ty mówisz? Wiktor? – Usiadła po turecku, zakryła piersi prześcieradłem i spojrzała na niego.

Leżał na boku, podparł głowę ręką, a drugą bawił się bezwiednie rogiem poszwy kołdry. Wsuwał go między palce, przeciągał pomiędzy nimi aż do koniuszka, i znowu to samo, od początku.

– Mówiłem. Zabieramy cię stąd. – Odrzucił róg kołdry. Przez chwilę się nie ruszał, ale w końcu usiadł jak ona. Przez jego klatkę piersiową spływała coraz mniej widoczna strużka potu, aż zupełnie zniknęła w gąszczu włosów na umięśnionym brzuchu. – Jutro wyjeżdżamy.

– Ale jak to? – Zatkano ją na dobre.

– Minęło pół roku – przypomniał.

– Dokąd mnie zabierasz? Do Londynu? – spytała, choć była prawie pewna, że zaprzeczy.

W ogóle o tym nie rozmawiali, no, może trochę. Czasami mówiła Wiktorowi, jakie ma plany, że chce tam zostać na dłużej, znaleźć jakieś mieszkanie, normalną pracę. Chciała żyć jak zwykli ludzie, pracować i dostawać pensję, mieć kogoś, faceta, który jest zwykłym człowiekiem, nie nosi kłamki za paskiem spodni, pracuje w fabryce albo w księgarni.

– Londyn? – Zaśmiał się cicho. – Chyba w to nie wierzyłaś? – Nie musiał pytać. Aż tak naiwna nie była. Sama zaczęła z nimi grę, której zasad należało przestrzegać do ostatniego przestawienia pionków na planszy. Wiktor wsparł stopy o materac, rękami objął lekko rozchylone kolana i uśmiechnął się blado. – Żałujesz, że to koniec?

– A ty?

– Może trochę. Chyba nie chowasz urazy?

– Za co?

– Za wszystko. Za ciotkę, za nadzór, za prochy. Ciotka coś wspominała.

– Nie – odpowiedziała bez wahania. Naprawdę nie czuła żalu, bo nic złego się nie stało, poza tym było jej łatwiej, nawet w to nie wątpiła. – To gdzie teraz mnie ulokujesz?

– Pojedziesz do Warszawy. Albo polecisz – dodał po namyśle. – Jeszcze się zobaczy. Zadowolona? Nie chciałaś tu być. – Szturchnął łokciem w jej lewą nogę. Na kostce wisiała bransoleta, już dawno Wiera owinęła ją szerokim bandażem, żeby nie uszkadzała naskórka. – Jutro to zdejmujemy, co ty na to?

– Będę tęsknić – burknęła z przekąsem.

– Za mną?

– Za nią. – Wskazała brodą na lewą stopę.

– Jasne, tak sobie mów – zaśmiał się.

– A ty?

– Co ja? – spytał, doskonale wiedząc, co ma na myśli. – Nie będę tęsknić. Jak nie ty, to inna. Wszystkie cipki są takie same – oznajmił filozoficznym tonem. – No, prawie takie same – dodał, bo przewróciła oczami. – Nawet cię polubiłem. Mało kłopotliwa jesteś, nie gadasz bez powodu, nie pytasz o nic. Nogi chętnie rozkładasz, to też plus.

– Nie, nie wyjdę za ciebie. – Wiera wydeła usta. – Zapomnij.

– Już jesteś mężatką – przypomniał jej.

– Wal się, Smółow.

– Jutro. Na pożegnanie. – Zerknął na swoje przyrodzenie. Pieprzyli się dzisiaj trzy razy i powoli zaczynał czuć przesyt. – Jak coś, zawsze możesz na mnie liczyć – powiedział po dłuższym milczeniu.

– Jak co?

– No wiesz. – Jego ramiona lekko drgnęły. – Czasami możesz potrzebować rady.

– A ty co? Wrózką jesteś, że mam się ciebie radzić?

– Ech. – Wyciągnął rękę, chwycił krzepko za kark Wierki i bez najmniejszego wysiłku dogiął jej głowę. – Uparta z ciebie suka, ale i tak cię lubię.

– Czemu akurat Warszawa? – Wyprostowała się i poprawiła włosy.

– Tymczasowy przystanek.

– Przed czym? – Nadal nie wiedziała, jakie plany co do niej ma boss Wiktora.

– Grizzly rzadko się zwierza, ale nie martw się, ktoś o ciebie zadba w Warszawie.

– A potem się zobaczy – prychnęła ironicznie.

– Dokładnie tak.

Wyjechali nazajutrz, jak zapowiedział Wiktor. Odwróciła głowę, kiedy mijali bramę. „Nie zapomnę tego miejsca” – pomyślała. W końcu spędziła tu kawał czasu. Minęło ponad pół roku, ponoć Oleg – jej papierowy ojciec – zmarł pod koniec ubiegłego roku. Trochę żałowała, że nie mogła być na pogrzebie. Ale tylko trochę. „Chciałabym widzieć ich miny” – pomyślała o reakcji matki i reszty rodziny. Zamrugła, bo coś zapiekło ją pod powiekami.

– No co, gotowa na nową przygodę? – spytał Wiktor.

Siedział razem z nią, z tyłu. Miał jej towarzyszyć do granicy z Białorusią.

– Nie wiem – odparła, nie odrywając wzroku od Anny.

Widziała ją przez tylną szybę. Ciotka Wiktora stała na końcu podjazdu i machała im na pożegnanie. Wierka odwróciła głowę dopiero wtedy, gdy wszystko zniknęło za zakrętem.

– Poradzisz sobie – powiedział Wiktor. Chwytał jej dłoń i lekko ścisnął.